

Księga



BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

Księga

I

Nazywam ją po prostu Księgą, bez żadnych określeń i epitetów, i jest w tej abstynencji i ograniczeniu bezradne westchnienie, cicha kapitulacja przed nieobojętnością transcendentu¹, gdyż żadne słowo, żadna aluzja nie potrafi załsnąć, zapachnieć, spłynąć tym dreszczem przestrachu, przecuciem tej rzeczy bez nazwy, której sam pierwszy posmak na końcu języka przekracza pojemność naszego zachwytu. Cóż pomógłby patos przymiotników i napuszystość² epitetów wobec tej rzeczy bez miary, wobec tej świetności bez rachuby. Czytelnik zresztą, czytelnik prawdziwy, na jakiego liczy ta powieść, zrozumie i tak, gdy mu spojrzę głęboko w oczy i na dnie samym załsnę tym blaskiem. W tym krótkim a mocnym spojrzeniu, w przelotnym ściśnięciu ręki pochwyty on, przejmie, odpozna — i przymknie oczy z zachwytu nad tą recepcją głęboko. Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?

Księga... Gdzieś w zaraniu dzieciństwa, o pierwszym świcie życia jaśniał horyzont od jej łagodnego światła. Leżała pełna chwały na biurku ojca, a ojciec, pogrążony w niej cicho, pocierał poślinionym palcem cierpliwie grzbiet tych odbijanek, aż ślepy papier zaczynał mglić się, mętnieć, majaczyć błogim przecuciem i z nagła złuszczał się kłakami bibuły i odsłaniał rąbek pawiooki i urzęsiony, a wzrok schodził, mdlejąc, w dziewiczy świt bożych kolorów, w cudowną mokrość najczystszych lazurów.

O, to przetarcie się bielma, o, ta inwazja blasku, o błoga wiosno, o ojczyste...

Czasem ojciec wstawał od Księgi i odchodził. Wówczas zostawałem z nią sam na sam i wiatr szedł przez jej stronicę i obrazy wstawały.

I gdy tak wiatr cicho kartkował te arkusze, wywiewając kolory i figury, spływał dreszcz przez kolumny jej tekstu, wypuszczając spomiędzy liter klucze jaskółek i skowronków. Tak ulatywała, rozsypując się, stronica za stronicą i wsiąkała łagodnie w krajobraz, który syciła barwnością. Czasami spała i wiatr rozdmuchiwał ją cicho jak różę stulistną i otwierała listki, płatek za płatkim, powieka pod powieką, wszystkie ślepe, aksamitne i uśpione, kryjąc w sednie swym na dnie lazurową źrenicę, pawi rdzeń, krzyżące gniazdo kolibrów.

To było bardzo dawno. Matki jeszcze wówczas nie było. Spędzałem dni sam na sam z ojcem w naszym, wielkim wówczas jak świat, pokoju.

Pryzmatyczne kryształki, zwisające z lampy, napępniały pokój rozproszonymi kolorami, rozpryskaną po wszystkich kątach tęczą i gdy lampa obracała się na swych łańcuchach, wędrował cały pokój fragmentami tęczy, jak gdyby sfery siedmiu planet³ przesuwwały się kręcąc przez siebie. Lubilem stawać między nogami ojca, obejmując je z obu stron, jak kolumny. Czasami pisał listy. Siedziałem na biurku i śledziłem z zachwytem zakrętasy podpisu, zawile i wirujące, jak trele koloraturowego⁴ śpiewaka. W tapetach pączkowały uśmiechy, wykluwały się oczy, koziółkowały figle. Aby mnie ubawić, ojciec wypuszczał w tęczową przestrzeń bańki mydlane z długiej słomki. Obijały się o ściany i pękały, zostawiając w powietrzu swe kolory.

Ojciec, Książka

¹transcendent — sfera nadprzyrodzona. [przypis edytorski]

²napuszystość — dziś: napuszenie. [przypis edytorski]

³sfery siedmiu planet — w kosmologii przed Kopernikiem zakładano, że planety krążą wokół ziemi po napisanych im sferach. [przypis edytorski]

⁴koloraturowy — umiejący wykonywać koloratury, tj. ozdobniki wokalne. [przypis edytorski]

Potem przyszła matka i wczesna ta, jasna idylla⁵ skończyła się. Uwiedziony pieszczotami matki, zapomniałem o ojcu, życie moje potoczyło się nowym, odmiennym torem, bez świąt i bez cudów, i byłbym może na zawsze zapomniał o Księdze, gdyby nie ta noc i ten sen.

II

Obudziłem się raz w ciemny świt zimowy — pod zwałami ciemności paliła się, głęboko w dole, ponura zorza — i mając jeszcze pod powiekami mrowie mglistych figur i znaków, zacząłem majaczyć niejasno i zawile, wśród udręki i próżnego żalu, o starej, zaginionej Księdze.

Nikt mnie nie rozumiał i, rozdrażniony tą tępotą, zacząłem natarczywiej naprzykrzać się i molestować rodziców w niecierpliwości i gorączce.

Bosy i w koszuli tylko przerzuciłem, drżąc z podniecenia, bibliotekę ojca i rozczarowany, gniewny opisywałem bezradnie przed osłupiałym audytorium tę rzecz nie do opisania, której żadne słowo, żaden obraz, nakreślony drżącym i wydłużonym mym palcem, nie mógł dorównać. Wyczerpywałem się bez końca w relacjach pełnych splątania i sprzeczności i płakałem z bezsilnej rozpacz.

Stali nade mną bezradni i zmieszani, wstydzając się swej bezsilności. W głębi duszy nie byli bez winy. Moja gwałtowność, ton żądania niecierpliwego i pełen gniewu dawał mi pozór słuszności, przewagę dobrze uzasadnionej pretensji. Przybiegali z różnymi książkami i wciskali mi je w ręce. Odrzucałem je z oburzeniem.

Jedną z nich, gruby i ciężki foliant⁶, ojciec mój wciąż na nowo podsuwał mi z nieśmiałą zachętą. Otworzyłem ją. Była to Biblia. Ujrzałem na jej kartach wielką wędrówkę zwierząt, płynącą gościńcami, rozgałęzioną pochodami po kraju dalekim, ujrzałem niebo w kluczach całe i w łopotach, ogromną odwróconą piramidę, której daleki wierzchołek dotykał Arki.

Podniosłem oczy na ojca, pełne wyrzutu: — Ty wiesz, ojcze — wołałem — ty wiesz dobrze, nie ukrywaj się, nie wykręcaj! Ta książka cię zdradziła. Dlaczego dajesz mi ten skażony apokryf⁷, tysiącną kopię, nieudolny falsyfikat? Gdzie podziałeś Księgę?

Ojciec odwrócił oczy.

III

Minęły tygodnie i wzburzenie moje opadło i uciszyło się, ale obraz Księgi płonął dalej w mej duszy jasnym płomieniem, wielki, szeleszczący Kodeks, wzburzona Biblia, przez której karty szedł wiatr, pładrując ją, jak ogromną, rozsypującą się różę.

Ojciec, widząc mnie spokojniejszym, zbliżył się raz ostrożnie i rzekł tonem łagodnej propozycji: — W gruncie rzeczy istnieją tylko książki. Księga jest mitem, w który wierzymy w młodości, ale z biegiem lat przestaje się ją traktować poważnie. — Miałem już wówczas inne przekonanie, wiedziałem, że Księga jest postulatem, że jest zadaniem. Czuliśmy na barkach ciężar wielkiego posłannictwa. Nie odpowiedziałem nic, pełen pogardy i zacieklej ponurej dumy.

W tym czasie bowiem byłem już w posiadaniu tego strzępu książki, tych żalonych resztek, które dziwny traf losu przemycił w me ręce. Kryłem skarb swój troskliwie przed wszystkimi oczyma, bolejąc nad głębokim upadkiem tej księgi, dla której okaleczonych resztek nie zdołałbym zjednać niczyjego zrozumienia. Stało się to tak.

Pewnego dnia tej zimy zastałem Adelę w trakcie sprzątania, ze szczotką w ręku, wspartą o pulpit, na którym leżał podarty jakiś szpargał. Nachyliłem się przez jej ramię, nie tyle z ciekawości, ile żeby znowu odurzyć się zapachem jej ciała, którego młody urok objawił się był niedawno obudzonym mym zmysłom.

— Patrz — mówiła, znosząc bez protestu moje przytulenie się — czy możliwe jest, żeby komuś wyrosły włosy do ziemi? Chciałbym mieć takie.

⁵idylla — sielanka. [przypis edytorski]

⁶foliant a. foliant (daw.) — książka dużego formatu. [przypis edytorski]

⁷apokryf — książka nie włączona do kanonu Pisma św. [przypis edytorski]

Spojrzałem na rycinę. Na dużej karcie *in folio*⁸ był tam wizerunek kobiety o kształtach raczej silnych i przysadkowatych, o twarzy pełnej energii i doświadczenia. Z głowy tej damy spływał ogromny kożuch włosów, staczał się ciężko z pleców i włókł się końcami grubych splotów po ziemi. Był to jakiś nieprawdopodobny wybryk natury, płaszcz fałdzysty i obfity, wyprzedzony z korzonek włosów, i trudno było wyobrazić sobie, żeby ten ciężar nie sprawiał dotkliwego bólu i nie obezwładniał obciążonej nim głowy. Ale właścicielka tej wspaniałości zdawała się z dumą ją nosić, a tekst wydrukowany obok tłustymi czcionkami głosił historię tego cudu i zaczynał się od słów: *Ja, Anna Csillag, urodzona w Karłowicach na Morawach, miałam słaby porost włosów...*

Była to długa historia, podobna w konstrukcji do historii Hioba. Anna Csillag z dopustu bożego dotknięta była słabym porostem. Całe miasteczko litowało się nad tym upośledzeniem, które wybaczano jej ze względu na nienaganny żywot, chociaż nie mogło ono być całkiem niezawinione. I oto stało się na skutek gorących modłów, że zdjęta była z jej głowy kłatwa. Anna Csillag dostała łaski oświecenia, otrzymała znaki i wskazówki i sporządziła specyfik, lek cudowny, który jej głowie przywrócił urodzajność. Zaczęła porastać we włosy i nie dość na tym, jej mąż, bracia, kuzynowie także z dnia na dzień opilśniali się tęgim, czarnym futrem zarostu. Na drugiej stronie pokazana była Anna Csillag w sześć tygodni po objawieniu jej recepty, w otoczeniu swych braci, szwagrów i bratanków, mężów brodatych po pas i wąsatych, i z podziwem patrzyło się na ten prawdziwy wybuch nie sfalszowanej, niedźwiedziej męskości. Anna Csillag uszczęśliwiła całe miasteczko, na które spłynęło prawdziwe błogosławieństwo w postaci falujących czupryn i grzywo ogromnych i którego mieszkańcy zamiatali ziemię brodami jak miotły szerokimi. Anna Csillag stała się apostołką włochatości. Uszczęśliwiwszy rodzinne miasto, zapragnęła uszczęśliwić świat cały i prosiła, zachęcała, błagała, aby przyjęc dla zbawienia swego ten dar boży, ten lek cudowny, którego sama jedna знаła tajemnicę.

Tę historię przeczytałem przez ramię Adeli i nagle tknęła mnie myśl, od której uderzenia stanąłem cały w płomieniach. Toż to była Księga, jej ostatnie stronicę, jej nieurzędowy dodatek, tylna oficyna⁹ pełna odpadków i rupieci! Fragmenty tęczy zakreśliły się w wirujących tapetach, wyrwałem z rąk Adeli szpargał i głosem odmawiającym mi posłuszeństwa wyzionąłem: — Skąd wzięłaś tę książkę?

— Głupi — rzekła, wzruszając ramionami — przecież ona leży tu zawsze i co dzień wydzieramy z niej kartki na mięso do jatek¹⁰ i na śniadanie dla ojca.

IV

Pobiegłem do mego pokoju. Wzburzony do głębi, z płonąca twarzą zacząłem wertować¹¹ latającymi rękami kartki szpargału. Niestety, było ich zaledwie kilkanaście. Ani jedna stronica właściwego tekstu, same tylko ogłoszenia i anonse. Zaraz po prorocत्वach długowłosej Sybilli następowała kartka poświęcona cudownemu leкови na wszystkie choroby i ułomności. Elsa — fluid z łabędziem — nazywał się ten balsam i działał cuda. Stronica pełna była świadectw uwierzytelnionych, wzruszających relacyj osób, na których cud się dokonał.

Z Siedmiogrodu, ze Sławonii, z Bukowiny przychodzili ozdrowieńcy pełni zapału, by przyświadczyć, gorącym i wzruszonym słowem opowiedzieć swe dzieje. Szli obandażowani i zgarbieni, potrząsając już niepotrzebnym szczudłem, odrzucali plastry z oczu i opaski ze skroful¹².

Poprzez te wędrówki kalek widziało się dalekie i smutne miasteczka o białym jak papier niebie, stwardniałe od prozy i codzienności. Były to zapomniane w głębi czasu miasta, gdzie ludzie przywiązani byli do swych małych losów, od których nie odrywali się ani na chwilę. Szewc był do cna szewcem, pachniał skórą, miał twarz małą i zbiedzoną, krótkowzroczne, blade oczy nad bezbarwnym, wężącym wąsem i czuł się na wskroś szewcem. I jeżeli nie bolały ich wrzody, nie łamały kości, puchlina nie kładła na barłóg,

⁸*in folio* — dawne określenie dużego formatu. [przypis edytorski]

⁹*oficyna* — skrzydło budynku, zwykle przeznaczone na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

¹⁰*jatki* — rzeźnia. [przypis edytorski]

¹¹*wertować* — przeglądać, przewracając kartki. [przypis edytorski]

¹²*skrofuly* — nabrzmiące węzły chłonne szyi (choroba bydła). [przypis edytorski]

byli szczęśliwi bezbarwnym, szarym szczęściem, palili tani tytoń, żółty tytoń cesarsko-królewski, lub marzyli tępo przed kolekturą loterii.

Koty przebiegały im drogę, to z lewej, to z prawej strony, śnił im się czarny pies i świerbiała ich ręka. Czasami pisali listy z listowników, nalepiali troskliwie markę¹³ i powierzali je z wahaniem i pełni nieufności skrzynce pocztowej, w którą uderzali pięścią, jak gdyby ją budzili. I przez sny ich przelatywały potem białe gołębie z listami w dzióbkach i znikwały w obłokach.

Następne stronicie wznosiły się ponad sferę spraw codziennych w regiony czystej poezji.

Były tam harmonie, cytry i harfy, ongi¹⁴ instrumenty chórów anielskich, dziś dzięki postępowi przemysłu udostępnione po popularnych cenach prostemu człowiekowi, bogobojnemu ludowi dla pocieszenia serc i godziwej rozrywki.

Były tam katarynki, prawdziwe cuda techniki, pełne ukrytych wewnątrz fletów, gardziołek i piszczałek, organków trelujących słodko jak gniazda szlochających słowików, nieoceniony skarb dla inwalidów, źródło lukratywnych do chodów dla kalek i niezbędne w ogóle w każdym muzycznym domu. I widziało się te katarynki pięknie malowane, wędrujące na plecach niepokąźnych szarych staruszek, których twarze, wyjedzone przez życie, były jakby zasnute pajęczyną i całkiem niewyraźne, twarze o łzawiących, nieruchomych oczach, które z wolna wyciekały, twarze wyjałowione z życia, tak odbarwione i niewinne, jak kora drzew spękana od pogód wszelkich, i pachnące już tylko deszczem i niebem jak ona.

Dawno zapomnieli, jak się nazywali i kim byli, i tak zagubieni w sobie szurgali z ugiętymi kolanami drobnymi, równymi kroczkami w swych ogromnych, ciężkich butach po linii całkiem prostej i jednostajnej, wśród krętych i zawilych dróg przechodniów.

W białe, bezsłoneczne przedpołudnia, przedpołudnia szczerstwiałe od zimna, pograżone w codzienne sprawy dnia, wyplątywali się niepostrzeżenie z tłumy, stawiali katarynkę na krzyżulcach na zbiegu ulic, pod żółtą smugą nieba, przekreśloną drutem telegraficznym, wśród ludzi śpieszących tępo z nastawionymi kołnierzami, i zaczynali swą melodię, nie od początku, lecz w miejscu, gdzie wczoraj przzerwali, i grali: „Daisy, Daisy, ty mi odpowiedź daj...”, podczas gdy z kominów puszyły się białe pióropusze pary. I rzecz dziwna — ta melodia, zaledwie rozpoczęta, wskakiwała zaraz w wolną lukę, w swoje miejsce w tej godzinie i w tym krajobrazie, jak gdyby od zawsze należała do tego dnia zamyślnego i zgubionego w sobie samym, a w takt jej biegly myśli i szare troski śpieszących.

I gdy po pewnym czasie kończyła się długim, wyciągniętym wizgotem, wyprutym z trzewi katarynki, która zaczynała się z całkiem nowej beczki — myśli i troski zatrzymywały się na chwilę, jakby w tańcu, by zmienić krok, a potem bez zastanowienia zaczynały kręcić się w odwrotnym kierunku w takt nowej melodii, która wybiegła z fujarek katarynki: „Małgorzato, skarbie mojej duszy...”

I w tęym indyferentyzmie¹⁵ tego przedpołudnia nikt nie zauważył nawet, że sens świata zmienił się do gruntu, że biegł on już nie w takt „Daisy, Daisy”, ale wprost przeciwnie „Mał-go-rzato...”

Obracamy znów kartkę... Cóż to? Czy pada deszcz wiosenny? Nie, to ćwierkanie ptaszków sypie się jak szary śrut na parasole, bo oto oferuje się tu prawdziwe kanarki harceńskie, klatki pełne szczygłów i szpaków, koszyki pełne śpiewaków i gadułów skrzydlatych. Wrzecionowate i lekkie, jakby wypchane watą, podskakujące w drgawkach, zwrotne, jak na gładkich, kwilących sworzniach, rozświergotane jak kukułki zegarów — były one osłoda samotności, zastępowały kawalerom ciepło ogniska rodzinnego, wywabiały z najtwardszych serc błogość uczucia macierzyńskiego, tyle miały pisklącego i wzruszającego, i jeszcze gdy obracało się nad nimi stronicę, posyłały za odchodzącym złączone swe, wabiące ćwierkanie.

Ale w dalszym ciągu staczał się ten skrypt żaloszny w coraz głębszy upadek. Teraz zszedł na bezdroża wątpliwej jakiejś szarlatańskiej mantyki¹⁶. W długim płaszczu, z uśmiechem na wpół pochłoniętym przez czarną brodę, któż to prezentował się do usług publiczności?

¹³marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

¹⁴ongi (daw.) — dawniej. [przypis edytorski]

¹⁵indyferentyzm — obojętność. [przypis edytorski]

¹⁶mantyka — wróżbiarstwo. [przypis edytorski]

Pan Bosco z Mediolanu, swego znaku mistrz czarnej magii, i mówił długo i niewyraźnie, demonstrując coś na końcach palców, co nie czyniło rzeczy zrozumialszą. I choć w przekonaniu własnym dochodził do zadziwiających konkluzji¹⁷, które ważyć się zdawał przez chwilę między czułymi palcami, zanim ich lotny sens nie uszedł z palców w powietrze, i choć pointował on subtelne przeguby dialektyki ostrzegawczym podniesieniem brwi, przygotowującym na rzeczy niezwykle, nie rozumiało się go, a co gorsza, nie pragnęło nic rozumieć i pozostawiało się go z jego gestykulacją, z przyciszonym tonem i całą skalą ciemnych uśmiechów, ażeby przekartkować szybko ostatnie, rozpadające się w strzępy stronicę.

Na tych ostatnich stronicach, które w sposób widoczny popadały w majaczkliwe bredzenie, w jawny bezsens, jakiś gentleman ofiarowywał swoją niezawodną metodę, jak stać się energicznym i stanowczym w decyzjach, i mówił wiele o zasadach i charakterze. Ale wystarczyło tylko obrócić stronicę, ażeby być zupełnie zdezorientowanym w rzeczach stanowczości i zasad.

Tam drobnym kroczkiem wychodziła spętana trenem¹⁸ sukni niejaka pani Magda Wang i oświadczała z wysokości ściągniętego dekoltu, że kpi sobie z męskiej stanowczości i zasad, i że jej specjalnością jest łamać najsilniejsze charaktery. (Tu ruchem nóżki układała tren na ziemi.) W tym celu istnieją metody, ciągnęła przez zaciśnięte zęby, niezawodne metody, nad którymi nie chce się rozwodzić, odsyłając do swych pamiętników, zatytułowanych *Z purpurowych dni* (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), w których złożyła rezultaty swych doświadczeń kolonialnych w dziedzinie tresury ludzi (ten wyraz z naciskiem i ironicznym błyskiem oczu). I rzecz dziwna, ta opieszale i bezceremonialnie mówiąca dama zdawała się być pewna aprobaty tych, o których z takim cynizmem mówiła, i wśród osobliwego zawrotu i migotania czuło się, że kierunki oznaczeń moralnych przesunęły się dziwnie i że jesteśmy tu w innym klimacie, w którym kompas uczuć działa na opak.

To było ostatnie słowo Księgi, które zostawiało smak dziwnego oszołomienia, mieszaninę głodu i podniecenia w duszy.

V

Nachylony nad tą Księgą, z twarzą płonąca jak tęczą, gorzałem¹⁹ cicho od ekstazy do ekstazy. Zatopiony w czytaniu zapomniałem o obiedzie. Nie omyliło mnie przeczucie. Był to Autentyk, święty oryginał, choć w tak głębokim poniżeniu i degradacji. I kiedy późnym zmierzchem, błogo uśmiechnięty, układałem szpargał w najgłębszej szufladzie, nakrywając go dla niepoznaki innymi książkami — zdawało mi się, że to zorzę układam do snu w komodzie, zorzę, która wciąż na nowo od samej siebie się zapalała i szła przez wszystkie płomienie i purpury, i wracała raz jeszcze, i nie chciała się skończyć.

Jakże zobojeźniały mi wszystkie książki!

Bo zwykle książki są jak meteory. Każda z nich ma jedną chwilę, moment taki, kiedy z krzykiem wlatuje jak feniks²⁰, płonąca wszystkimi stronicami. Dla tej jednej chwili, dla tego jednego momentu kochamy je potem, choć już wówczas są tylko popiołem. I z gorzką rezygnacją wędrujemy niekiedy późno przez te wystygłe stronicę, przesuwając z drewnianym klekotem, jak różaniec, martwe ich formułki.

Egzegeci²¹ Księgi twierdzą, że wszystkie książki dążą do Autentyku. Żyją one tylko wypożyczonym życiem, które w momencie wlotu wraca do swego starego źródła. Znaczący to, że książek ubywa, a Autentyk rośnie. Jednakowoż nie chcemy nużyć czytelnika wykładem Doktryny. Chcielibyśmy tylko zwrócić na jedną rzecz uwagę: Autentyk żyje i rośnie. Co z tego wynika? Oto, gdy następnym razem otworzymy nasz szpargał, kto wie, gdzie będzie już wówczas Anna Csillag i jej wiermi. Może ujrzymy ją, pątniczkę długowłosą, zamiatającą swym płaszczem gościńce Moraw, wędrującą przez kraj daleki, przez białe miasteczka pogrążone w codzienności i prozie i rozdającą próbki balsamu Elsa-fluid między prostaczków bożych, trapiionych wyciekami i świerzbem. Ach, co zrobią wówczas

¹⁷konkluzja — wniosek. [przypis edytorski]

¹⁸tren — ciągnąca się po ziemi część sukni. [przypis edytorski]

¹⁹gorzeć — płonąć. [przypis edytorski]

²⁰feniks — legendarny ptak, ginący w płomieniach i odradzający się z popiołów. [przypis edytorski]

²¹egzegeta — interpretator Pisma św. [przypis edytorski]

pocziwi brodacze miasteczka, unieruchomieni przez olbrzymie zarosty, co zrobi wiera na ta gmina, skazana na pielęgnowanie i administrację nadmiernych swych urodzajów? Kto wie, czy nie kupią sobie wszyscy prawdziwych katarynek ze Szwarcwaldy i nie podążą w świat za swą apostołką, ażeby szukać jej po kraju, grając na wszystkich miejscach „Daisy, Daisy”?

O, odysejo brodaczy, błędzących z katarynkami od miasta do miasta w poszukiwaniu swej matki duchowej! Kiedyż znajdzie się rapsod²² godny tej epopei? Bo komuż zostawili gród oddany ich pieczy, komu powierzyli rząd dusz w mieście Anny Csillag? Czy nie mogli przewidzieć, że pozbawione swej duchowej elity, swych patriarchów wspaniałych — miasto popadnie w zwątpienie i odszczepieństwo i otworzy swe bramy — komu? — ach, cynicznej i przewrotnej Magdzie Wang (Wydawnictwo Instytutu Antropozoficznego w Budapeszcie), która założy w nim szkołę tresury i łamania charakterów?

Ale powróćmy do naszych pielgrzymów.

Któż nie zna tej starej gwardii, tych Cymbrów wędrownych, głębokich brunetów o potężnych na pozór ciałach, zrobionych z tkanki bez tężyzny i soków? Cała ich siła, cała moc weszła w uwłosienie. Antropologowie głowią się od dawna nad tą osobliwą rasą, odzianą zawsze w czarne ubrania, w grube, srebrne łańcuchy na brzuchach, z palcami w potężnych, mosiężnych sygnetach²³.

Lubię ich, tych na przemian Kasprów i Baltazarów, ich głęboką powagę, ich funebryczną²⁴ dekoratywność, te wspaniałe okazy męskie z pięknymi oczami o tłustym połysku palonej kawy, lubię ten szlachetny brak żywotności w ciałach wybujałych i gąbczastych, morbidez²⁵ wygasających rodów, ich sapiący oddech z potężnych piersi i nawet ten zapach waleriany²⁶, jaki roztaczają ich brody.

Jak Aniołowie Oblicza stają czasem niespodzianie w drzwiach naszych kuchni, ogromni i sapiący, i prędko zmęczeni — ocierają pot ze zroszonego czoła, przewracając niebieskimi białkami oczu, i w tym momencie zapominają swe poselstwo i zdziwieni, szukając wybiegu, pretekstu dla swego przybycia — wyciągają dłoń po jałmużnę.

Wracamy do Autentyku. Ależ nie opuszczaliśmy go nigdy. I tu wskazujemy na dziwną cechę Szpargału, już teraz jasną czytelnikowi, że rozwija się on podczas czytania, że ma granice ze wszech stron otwarte dla wszystkich fluktuacyj i przepływów.

Teraz na przykład już nikt nie oferuje tam szczygłów harceńskich, bo z katarynek tych brunetów, z przelamań i zagieć melodii wyfruują w nieregularnych odstępach te pierzaste miotłki i rynek zasypany jest nimi, jak kolorowymi czcionkami. Ach, co za rozmnożenie migotliwe i pełne szczebiotu... Dokoła wszystkich cypli, drażków i chorągiewek tworzą się prawdziwe kolorowe zatory, trzepoty i walki o miejsce. I wystarczy wystawić przez okno pałąk, ażeby oblepiony trzepocącym i ciężkim gronem wciągnąć go z powrotem do izby.

Ptak

Zbliżamy się teraz w naszym opowiadaniu szybkimi krokami do tej wspaniałej i katastroficznej epoki, która w biografii naszej nosi nazwę epoki genialnej.

Daremnie przeczylibyśmy, że czujemy już teraz to ściśnięcie serca, ten błogi niepokój, świętą treść, jaka poprzedza rzeczy ostateczne. Wkrótce zabraknie nam w tyglach kolorów, a w duszy blasku, aby położyć najwyższe akcenty, nakreślić najświetlstsze i już transcendentalne²⁷ kontury w tym malowidle.

Cóż to jest epoka genialna i kiedy to było?

Tu zmuszeni jesteśmy stać się na chwilę całkiem ezoteryczni, jak pan Bosco z Mediolanu, i zniżyć nasz głos do wnikliwego szeptu. Musimy pointować nasze wywody wieloznacznymi uśmiechami i, jak szczyptę soli, rozcierać w koniuszkach palców delikatną materię imponderabiliów²⁸. Nie nasza wina, jeżeli czasami będziemy mieli wygląd tych sprzedawców niewidzialnych tkanin, demonstrujących w wyszukanych gestach oszukańczy swój towar.

²²rapsod (daw.) — śpiewak a. poeta. [przypis edytorski]

²³sygnet — pierścień z monogramem lub herbem. [przypis edytorski]

²⁴funebryczny — pogrzebowy. [przypis edytorski]

²⁵morbidezza (z wł.) — nadmierna delikatność. [przypis edytorski]

²⁶waleriana — lekarstwo uspokajające i nasenne, wykonywane z kozłka lekarskiego. [przypis edytorski]

²⁷transcendentalny — przekraczający poznanie zmysłowe. [przypis edytorski]

²⁸imponderabilia — rzeczy istotne, których jednak nie da się dokładnie zmierzyć. [przypis edytorski]

Więc czy epoka genialna zdarzyła się, czy nie zdarzyła? Trudno odpowiedzieć. I tak, i nie. Bo są rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, ażeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbują one tylko się zdarzyć, próbują gruntu rzeczywistości, czy je uniesie.

I wnet się cofają, bojąc się utracić swą integralność w ułomności realizacji. A jeśli nadłamały swój kapitał, pogubiły to i owo w tych próbach inkarnacji²⁹, to wnet, zazdrosne, odbierają swą własność, odwołują ją z powrotem, reintegrują się i potem w biografii naszej zostają te białe plamy, wonne stygmaty, te pogubione srebrne ślady bosych nóg anielskich, rozsiane ogromnymi krokami po naszych dniach i nocach, podczas gdy ta pełnia chwały przybiera i uzupełnia się nieustannie i kulminuje nad nami, przekraczając w triumfie zachwyty po zachwycie.

A jednak w pewnym sensie mieści się ona cała i integralna w każdej ze swych ułomnych i fragmentarycznych inkarnacji. Zachodzi tu zjawisko reprezentacji i zastępczego bytu. Jakies zdarzenie może być co do swej proveniencji³⁰ i swoich własnych środków małe i ubogie, a jednak, zbliżone do oka, może otwierać w swoim wnętrzu nieskończoną i promienną perspektywę dzięki temu, że wyższy byt usiłuje w nim się wyrazić i gwałtownie w nim błyszczy.

Tak tedy będziemy zbierali te aluzje, te ziemskie przybliżenia, te stacje i etapy po drogach naszego życia, jak ułamki potłuczonego zwierciadła. Będziemy zbierali po kawałku to, co jest jedno i niepodzielne, naszą wielką epokę, genialną epokę naszego życia.

Możemy ją w diminucyjnym zapędzie³¹, sterroryzowani nieobjętością transcendentu³² — zbyt ograniczyli, zakwestionowali i zachwiali. Gdyż mimo wszystkich zastrzeżeń: ona była.

Ona była i nic nam nie zabierze tej pewności, tego świetlanego smaku, który mamy jeszcze na języku, tego zimnego ognia na podniebieniu, tego westchnienia szerokiego jak niebo i świeżego jak haust czystej ultramaryny.

Czy przygotowaliśmy w pewnej mierze czytelnika do rzeczy, które nastąpią, czy możemy zaryzykować podróż w epokę genialną? Nasza trema udzieliła się czytelnikowi. Czujemy jego zdenerwowanie. Mimo pozorów ożywienia i nam jest ciężko na sercu i pełni jesteśmy trwogi. W imię Boże tedy — wsiadamy i odjazd!

²⁹*inkarnacja* — wcielenie. [przypis edytorski]

³⁰*proveniencja* — pochodzenie. [przypis edytorski]

³¹*diminucyjny zapęd* — zapęd do umniejszania. [przypis edytorski]

³²*transcendent* — sfera nadprzyrodzona. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-ksiega>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.